

MAREK
KRAJEWSKI

dzuma w Breslau



Marek Krajewski (ur. 1966),
najgłośniejszy dziś polski autor kryminałów.
Z wykształcenia filolog klasyczny.
W 1999 roku zadebiutował *Śmiercią w Breslau*,
pierwszą z serii powieści z Eberhardem
Mockiem, których akcja rozgrywa się
w dawnym Wrocławiu. Kolejne, *Koniec świata
w Breslau* (W.A.B. 2003), *Widma w mieście
Breslau* (W.A.B. 2005) i *Festung Breslau*
(W.A.B. 2006), spotkały się z doskonałym
przyjęciem czytelników i krytyki.
Marek Krajewski jest laureatem Paszportu
„Polityki” za rok 2005, Nagrody Księgarzy
„Witryna” za najlepszą książkę roku 2005
oraz Nagrody Wielkiego Kalibru za najlepszą
powieść kryminalną roku 2003. Jego książki
są tłumaczone na 12 języków, w tym angielski,
hiszpański, niemiecki, francuski, włoski
i hebrajski. W przygotowaniu film fabularny
oraz serial telewizyjny o śledztwach Mocka
w reżyserii Patryka Vegi.





w serii ukazały się:

Martha Grimes *Hotel Paradise*

Martha Grimes *Stacja Cold Flat Junction*

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Jean-Claude Izzo *Szurmo*

Jean-Claude Izzo *Solea*

Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Marek Krajewski *Festung Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Henning Mankell *O krok*

Henning Mankell *Psy z Rygi*

Henning Mankell *Mężczyzna, który się uśmiechał*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*

Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*

Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

MAREK

KRAJEWSKI

dzuma
w Breslau



Kleidung wider den Tod zu Rom Anno 1656.
 Also gehen die Doctores Medici dahin zu Rom, wann sie die ander Pestergangne Personen besuchen, sie zu curiren und fragen, sich wider den Gift zu sichern, ein langes Kleid von gewartem Tuch ist angezogen, ist verlarvt, sind den Augen haben sie grosse Crystalline Brillen, welche Nasen einen langen Schnabel, welcher die Speerey, in der Hände, welche mit hand schuher wol versehen ist, eine lange Kütze und darmit deuten sie, was man thun, und gebrauchen soll.

Abb. 63. Pestarzt in einer Schutzkleidung. Kupf. von Paulus Fürst nach J. Columbina 1656. München, Kupferstichkabinet.

*Breslau, czwartek 15 maja 1913 roku,
kwadrans na trzecią w nocy*

Wspinał się po żeliwnych schodach, które spiralnie otaczały maszynownię zakładów wodociągowych „Am Weidendamme”. Dookoła miarowo stukały koła zamachowe, zgrzytały suwnice, syczały pompy i agregaty. Brakowało mu tchu. Czuł mdłości spowodowane jednostajnym ruchem i wielką liczbą kół zakreślanych przez jego ciało od momentu, kiedy postąpił na pierwszy stopień kręconych schodów. Palce zaciskał na żeliwnej kratce, która wraz z barierką zabezpieczała przed wypadnięciem i przed śmiercią w trzewiach buchającego parą żelaznego potwora, tłoczącego czystą wodę w tętnice miasta. Wzrok mężczyzny ślizgał się po wypukłych firmowych nazwach, którymi pokryte były błyszczące od oleju maszyny. „Pieffke, Woolf, Ruffer, Zoelly” – migąło przed jego zmęczonymi oczyma.

Dotarł w końcu do zwieńczenia budynku, niewielkiej wieżyczki w kształcie małego domku. Wtedy przystanął i przez chwilę ciężko oddychał. Nocny strażnik, w mundurze i w czaku, bardzo podobnym do policyjnego, spojrzął na przybysza obojętnie i odwrócił wzrok. Nie zareagował nawet wtedy, kiedy zadyszany

mężczyzna otworzył okno i wyszedł na nieco pochyły dach wieży ciśnień. Podeszwy jego górskich butów przesunęły się niebezpiecznie po miedzianej blasze. Przez moment zdawało mu się, że straci równowagę. Machnął rękami i jedną z nich trafił w futrynę okna. Przytrzymał się kurczowo. Rozwinął grubą linę, którą trzymał pod pachą. Przywiązał do framugi okna na żeglarski węzeł, którego zapętlenie trenował od tygodnia. Przez chwilę stał bez ruchu. Ubrany był w bawarską kurtkę z grubego sukna i także spodnie, ich przykrótkie nogawki opięte były sięgającymi kolan wełnianymi skarpetami. Na głowie miał kaszkiet, którego klapki zapięte były na guzik na czubku głowy. Z przyjemnością łapał w wysuszone wysiłkiem usta podmuchy nocnego wiatru.

Przez chwilę podziwiał panoramę miasta. Przed jego oczami rozpościerał się cichy i czarny pas Odry, migoczący tu i ówdzie światłami. Po prawej stronie ciągnęła się rozrywkowa ulica Am Weidendamme, pełna ogrodów, przeszklonych pawilonów, teatrzyków marionetek i zjeżdżalni dla welocypedystów. Mimo późnej nocy błyskały uliczne latarnie, a w niebo wznosiły się kiczowate melodie walców.

Mężczyzna włożył cienkie skórzane rękawiczki, potem odwrócił się ku domkowi wieńczącemu wodociągową budowlę i zaczął posuwać się do tyłu – w stronę krawędzi dachu. Lina rozwijała się, a po miedzianych płytach dachu bębniły szczeble sznurowej drabinki. W odległości metra od krawędzi zatrzymał się. Jedną dłoń zaciskał na szczeblu drabinki, drugą rzucił jej wolny koniec w dół. Nasłuchiwał przez chwilę. Nie usłyszał uderzenia drabinki o brukowaną nawierzchnię – siedem pięter niżej. Albo była za

krótka, albo ten najbardziej pożądanym dźwięk został zagłuszony przez stukanie szczepki o mur budowli, przez dźwięczenie szyb, o które uderzyło drewno. Pewnie nie dosięgła ziemi! Poczł zimny strach. Nie uda się, myślał, klękając kilka centymetrów od rynny. Jego buty wystawały poza krawędź dachu. Poczł na sobie wzrok strażnika. Wtedy palcami chwycił się szczepki z taką siłą, jakby chciał z nich wycisnąć sok. Opuścił się cały poza krawędź dachu. Klucha tkwiąca w gardle uniemożliwiała mu oddychanie. Machał nogami i szukał nimi szczepki drabinki. Przytulił mocno policzek do rynny. Ciężar ciała omal nie wyłamał mu rąk w stawach łokciowych. Lewy but natrafił na występ muru, prawy zahaczył o linę. Owinął sznur wokół łydki i uda tak czule, jakby to była noga kochanki. Wtedy odważył się oderwać od dachu. Dłonie zeszyły kilka szczepki niżej. Skulił się i zakoczył pod samym okapem. Spojrzał w dół. Niepotrzebnie.

Jedno z okien na najwyższym piętrze zostało nagle zachłapane gęstymi kroplami. Siedem pięter poniżej granitowy bruk zwilgotniał. Wcale nie od wiosennego deszczu, który lunął z majowego nieba.

*Breslau, czwartek 15 maja 1913 roku,
trzecia w nocy*

Mistrz strażacki Friedrich Olscher siedział obok swojego pomocnika Ericha Dobrentza na koźle wozu wyposażonego w wyciąganą drabinę. Ten najwyższej klasy sprzęt, sprowadzony niedawno z Kolonii, był dla mistrza strażackiego powodem do wielkiej dumy. Nie mógł tego jednak powiedzieć o celu swojej nocnej

wycieczki. Telegraficznie został bowiem zawiadomiony, że nie chodzi o pożar, lecz o wejście na wysoką kondygnację jednego z budynków publicznych. Zwykle kiedy jechał, a nade wszystko, kiedy wracał po ugaszeniu pożaru, podkreślał węża, łypał na prawo i lewo, doszukując się w spojrzeniach panien przeżalenia i admiracji. Teraz, kiedy za Mauritiusbrücke zatrzymywał furgon przed wieżą ciśnienną na ulicy Am Weidendamme, nie dostrzegając w spojrzeniach kilku podchmielonych kobiet, które wyległy z rozrywkowych ogródków, żadnego podziwu, lecz zaledwie cień zainteresowania. Cel jego nocnej misji nie był dziś dla mistrza strażackiego powodem do dumy.

Z trudem zrzucił z kozła swoje dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi i stanął oko w oko ze szczupłym mężczyzną, który właśnie zdejmował marynarkę i zakasywał rękawy. Kiedy podał ją stojącemu obok umundurowanemu policjantowi, spojrzał na sześć podłużnych wnęk, które ciągnęły się przez całą prawie wysokość budynku.

– Asystent kryminalny Werner Quass – przedstawił się mężczyźnie strażakowi i dodał władcym tonem, sposobnym do wydawania rozkazów. – Drabina na trzecie piętro. O tam. – Wskazał niezbyt wyraźny cień w trzeciej wnęce budynku. – Ja idę pierwszy. Pan za mną.

– Dobrentz – powiedział Olscher do swojego pomocnika podobnym tonem – wyprzęgaj konie i kręć korbą, a ja nakieruję drabinę.

Obaj strażacy przystąpili do swoich zadań. Kiedy drabina znalazła się przy wnęce, Quass zacisnął zęby na ogryzku cygara, wbił mocniej melonik i zaczął się wspinać, wypuszczając kłęby dymu. Olscher ruszył

za nim. Jego wypięty zad wywołał wielką wesołość. Podchmielone damy wybuchły śmiechem, a ich kawalerowie znaleźli sobie wdzięczny temat do żartów.

Olscher szedł za asystentem Quassem i widział jego lśniące buty, szybko śmigające po drabinie. Nagle się zatrzymały. Policjant dotarł prawie do końca – małego gniazda z niewielką barierką. Tuż obok na drabince sznurowej wisiał mężczyzna w kaszkiecie. Był siny z zimna. Jego palce kurczowo zaciskały się na szczebelkach.

– Panie komisarzu, co pan tu robi, do kroćset, na tej drabinie? – wrzasnął Quass.

– A co to pana obchodzi? – odparł mężczyzna wysokim, drżącym głosem. – Może wykonuję zadanie operacyjne... Zabieraj mnie stąd i nie zadawaj głupich pytań.

Quass spojrział na Olschera. Ten dał znak Dobrentzowi, aby podkreślił jeszcze trochę drabinę. Wiszący mężczyzna wskoczył lekko do gniazda i wszyscy trzej zaczęli schodzić rakiem. Olscher przyśpieszył i nadzwyczaj szybko pokonywał drogę do furgonu. Podchmielone panny, widząc gwałtowne ruchy jego potężnych bioder, perliście się roześmiały. Ich kawalerowie rzucili grubymi dowcipami o tęgich zadach, grawitacji i lęku wysokości. Mistrz strażacki Olscher schodził jednak tak szybko nie dlatego, że cierpiał na lęk wysokości i chciał niczym mityczny Anteusz – dotknąć matki ziemi. Powodem tego pośpiechu był smród, jaki dochodził od mężczyzny, który niedawno jeszcze wisiał trzy piętra nad ziemią, a teraz jako ostatni schodził z drabiny. Olscher po raz pierwszy w życiu przeklinał swój fach. Z całą pewnością nie był dumny z dzisiejszej interwencji.

*Las między Deutsch Lissa a Neumarkt,
sobota 30 czerwca 1923 roku,
kwadrans na ósmą rano*

Nadwachmistrz Eberhard Mock nie wiedział, jak sobie poradzić z uporczywym łaskotaniem, które naprzemiennie drażniło jego małżowiny – raz lewą, raz prawą. Wyobrażał sobie, że ma obok głowy dwóch brudnych obdartych urwisów, którzy ździebełkiem zakończonym zwiewną kitką łaskoczą jego uszy. Bał się otworzyć oczy, aby to nie okazało się prawdą. Wczoraj dużo wypił. Tak dużo, że mało co pamiętał z popołudniowych i wieczornych zdarzeń. Pewnie teraz leży gdzieś pod mostem, brudny i pokaleczony, a jacyś mali ulicznicy drażnią pijaka nadodrzańską trawką. Co będzie, jeśli jego przypuszczenia okażą się prawdziwe? Otworzy oczy i dobędzie zdarty głos z zachrypniętego gardła? Ulicznicy wcale się go nie wystraszą, lecz odskoczą od niego i z zuchwałym śmiechem będą biegali wokół, szydząc z niego bezlitośnie. On zaś będzie usiłował ich złapać, kręcąc się bezradnie i wzburzając swe soki żołądkowe. Nie, wolał spoczywać w bezpiecznym świecie, za zasłoną zamkniętych powiek.

Usiłował wytoczyć trochę śliny z zaschniętych ślinianek. Z mizernym skutkiem. Jego podniebienie było szorstkie i jakby obsypane cementowym proszkiem. Zrobiło mu się niedobrze. Nie reagował. Leżał i zaciskał powieki. Po chwili poruszył palcami lewej dłoni. Mocno przycisnął palec serdeczny do małego. Palce ściśle do siebie przylegały. Nie powinny. Zwykle przeszkadzał im w tym złoty sygnet. Schowałem go na pewno do kieszeni, pomyślał, żeby mi nikt nie ukradł.

Wciąż nie otwierając oczu, sięgnął tam, gdzie spodziewał się znaleźć piękny wyrób mistrza kolońskiego Zieglera. Nie natrafił na znajome zagłębienie spodni, gdzie zwykle trzymał scyzoryk, tytoń i benzynową zapalniczkę. Jego palce prześliznęły się po nagiej skórze uda. Gdzie moje spodnie i gacie?

Mock usiadł i otworzył oczy. Nagi, pokryty kropelkami potu, siedział na leśnej polanie, a spowijała go jakaś stara kapota. Poranne słońce mocno przygrzewało. Poczuł ukłucie za uchem. Klnąc, wsadził kciuk za małżowinę i zdusił jakiegoś owada. Odkleił palec od skóry z cichym plaśnięciem. Podniósł palec, by zobaczyć, co go łaskotało. Zupełnie nie zainteresowała go przyklejona do niego czerwona mrówka. Przeraziła różowa farba, którą umazana była jego dłoń. Spojrzał na udo. Widniało na nim pięć różowych smug od pięciu palców, którymi usiłował wtargnąć do nieistniejącej kieszeni. Nie było łobuzów łaskoczących go w ucho, nie było ubrania, nie było butów, nie było sygnetu. Był nagi nadwachmistrz Eberhard Mock z palcami prawej ręki umazanymi różową farbą. Bezbronny i wydany na pastwę kaca.

*Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,
trzy kwadranse na ósmą rano*

Na St. Johannesplatz, głównym placu w podmiejskiej Deutsch Lissa, nie panował zwykły gorączkowy ruch. Ludzie przechodzący przez plac zastygali w milczeniu lub zwalniali kroku. Dwóch robotników, najwyraźniej zmierzających do pałacu baronostwa von Riepenhausen, zatrzymało gwałtownie rowery. Czelad-

nik z zakładu szklarskiego Bernerta stał obok stosu szyb ustawionych na wózku i dzierzył bezmyślnie jedną z nich, jakby zapomniał, że miał zamiar dołożyć ją do reszty. Nawet szef gospody „Der Schwarze Adler” wyszedł przed lokal i cały czas wycierał przykrywkę kufla, choć to jego ścianki ociekały wodą. Dzieci zmierzające do pobliskiej szkoły, traciły nagle właściwą ich wiekowi ruchliwość i wlekły się dalej noga za nogą. Nikt z przechodniów mijających pomnik świętego Jana Nepomucena nie śpieszył się dzisiaj i nie gorączkował. Ich uwaga została tego ciepłego letniego poranka nagle czymś bardzo zaabsorbowana. Nie mogli się skupić na zwykłych czynnościach, a ich wzrok wciąż podążał w stronę postoju dorożek.

Dochodziły stamtąd podniesione głosy i świst przecinających powietrze batów. Nieogolony czarnowłosey mężczyzna koło czterdziestki usiłował wejść do wszystkich po kolei dorożek i przeklinał zachrypniętym głosem fiaków, którzy na jego wyzwiska i próby wtargnięcia do swoich pojazdów reagowali, jak umieli – tnąc go batem przez plecy. Ta obronna reakcja powstrzymywała go skutecznie. Mężczyzna ubrany był w pobrudzony jakimś smarem stary wełniany płaszcz, z którego wystawały przez liczne dziury fragmenty podszewki. To podłe odzienie zapięte było na trzy guziki, które omal się nie oderwały od naporu sporego brzucha. Spod płaszcza wystawały bose stopy i owłosione łydki. Najwidoczniej właściciel płaszcza nie miał na sobie spodni. Ze strzępów zdań można było wywnioskować, że fiakrzy uważali mężczyznę za wariata, co zachowanie tego ostatniego zdawało się potwierdzać. Jak bowiem mogli usłyszeć mieszkańcy Deutsch Lissa, człowiek ten nie miał pieniędzy, a chciał się

dostać do swojego domu w Klein Tschansch, czyli w miasteczku położonym dokładnie po drugiej stronie Breslau. Obiecywał przy tym sowitą zapłatę, zapewniając, że w domu ma sporo pieniędzy, czemu zdawał się zaprzeczać jego nędzny ubiór. Kiedy ostatni fiakier go odpędził, mężczyzna stanął na środku rynku, wśród straganów.

– Mam was w dupie, skurwysyny!!! Patrzcie, co robię! – krzyknął. – Będę szybciej w domu, niżbym jechał waszymi dryndami!!!

Powiedziawszy to, mężczyzna zrobił coś, co sprawiło, iż wielu przechodniów na St. Johannesplatz odwróciło wzrok. Osobliwie nie uczyniła tego żadna z kobiet. Nie odwrócił wzroku również wachmistrz policyjny Robert Starke, szef posterunku w Deutsch Lissa. Ścisnął rękojeść szabli, poprawił czako i ze ściągniętymi brwiami ruszył ku wariatowi.

*Breslau, sobota 30 czerwca 1923 roku,
kwadrans na jedenastą rano*

Wachmistrz Kurt Smolorz pracował w decernacie IV Prezydium Policji w Breslau, zajmującym się głównie sprawami obyczajowymi. Gdyby jednak nieliczni pracownicy tego wydziału, włącznie z jego szefem, doktorem Josefem Ilsheimerem, zostali nagle poddani wnikliwej inwigilacji przez berlińskich tajniaków z policyjnej komisji spraw wewnętrznych, okazałoby się, że ich życie prywatne jest zgoła nieobyczajne. Jedynym wyjątkiem był Kurt Smolorz. On nie korzystał z darmowych usług prostytutek, nie żądał od alfonsów części zarobków, nie upijał się za darmo

w lokalach z nielegalnym wyszynkiem, a w zamian za milczenie nie domagał się wsparcia od zdemaskowanych w tajnym homoseksualnym lokalu urzędników miejskich ani nie wymagał cielesnych usług od arystokratek złapanych w ramionach rzeźmieszka lub furmana. Ten rudowłosy małowłny czterdziestolatek wykonywał bez szemrania wszelkie polecenia doktora Ilssheimera, odrzucał korupcyjne propozycje alfonsów i rozkoszne awanse prostytutek. Od czterech lat był wzorowym mężem i obywatelem. Od czterech lat w ogóle nie pił alkoholu i nie zdradzał swojej żony z powodu wyrzutów sumienia, jakie wciąż targały nim na wspomnienie kilku narkotykowo-seksualnych orgii, w których uczestniczył właśnie cztery lata temu na zaproszenie pewnej baronowej. Swe obowiązki służbowe Smolorz wykonywał dokładnie i bez zbędnych pytań. Tylko jedno mogło go odwieść od sumiennego wykonywania poleceń. Był człowiek, którego rozkaz był dla Smolorza *suprema lex*. Człowiek, który cztery lata temu przeszedł metamorfozę po silnym załamaniu nerwowym. W odróżnieniu od Smolorza była to zmiana na gorsze.

Smolorz jechał jednym z ostatnich dwukołowych doktorwagenów, jakie były na wyposażeniu Prezydium Policji. Wydział kryminalny już dawno dysponował dwoma daimlerami, „cementownicy”, czyli decernat VI, który – nawiasem mówiąc – został wydzielony z decernatu IV, zapuszczali dumnie silnik w nowiutkim horchu, a doktor Ilssheimer i jego ludzie wciąż musieli jeździć archaicznymi pojazdami i – co gorsza – sami powozić, co zyskało im mało zaszczytne miano „dryndziarzy”.